

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

Hej! hej, dziewczęta!
 Zrzućcie wianki z skroni,
 I zwróćcie oczęta
 Na wód lśniące tonie.
 Na wód lśniące tonie,
 Na te bystre wody,
 Gdzie po gładkiem łonie
 Płynie chłopiec młody. —
 Płynie chłopiec młody
 Płynie ukochany,
 Pruje bystre wody —
 Rozbija bałwany!...
 Mknie w całym rozpędzie
 Chłopiec ukochany,
 Napewno zdobędzie,
 Wianeczek ruciany!
 Wianeczek ruciany
 Ze skroni dziewczęcej;
 Los życia wygrany!
 Nie trzeba nic więcej

Na zielonej łące, pod laskiem brzoźowym, na stromym brzegu niezbyt szerokiej, lecz wartko toczącej swe fale spienione rzeki, poczęły się gromadzić tłumy ludu. W złocisto różanej łunie zachodzącego słońca mieniały się tęczowymi odbłaskami lotne pierzaste chmurki na błękitnie nieba, a na błoni zielonem, niby rój barwnych motyli — migają hoże dziewcząt postacie, strojne w jasne barwy odświeżonych strojów. Za chwilę, gdy cienie wieczoru otulą ziemię, zabłysną tam w górze gwiazdy — lampy niebieskie — a tu, na przepelnionej rozgwarem ziemi, zapłoną stosy drewek i chróstu, i z beczek, stojących rzędem nad rzeką, a wypełnionych smołą — wybuchną ogniste płomienie. Tymczasem parobcy szykują łodzie i stroją poręcze kryp gałązkami brzeziny. A gdy dziewczęta ukończą spletać wianuszki ruciane, grajkowie nastroją lipowe skrzypki na ton wesoly — i od samego zmroku do rannego poświtu, przez noc całą, będzie młodzież hasać.

Chociaż oddawna ów piękny obyczaj starosłowiański wesolego obchodu wigilii świętego Jana Chrzciciela, Jana Kupaly, poszedł w niektórych okolicach w zapomnienie, jednakże mieszkańcy Uroczej Doliny z wielką wspaniałością wieczór ten obchodzą, bo stare obyczaje mają w poszanowaniu. A że to lud nasz od wieków ze swej nabożności słynie, przeto zabawę dzisiejszą od hołdu kornego Najwyższemu Panu rozpoczyna, tembardziej, że wigilia świętego Jana Chrzciciela przypada w ów dzień pogański Kupaly, a zatem cześć Bogu oddana niechaj będzie uświęceniem onej zabawy i radosnej świeckiej uciechy.

A więc ciągnie nabożny lud na rozstaje przydrożne, pod las, kędy na wzgórkach wśród cienia lip rozłożystych stoi Męka Boża, uwieńczona w górze krzyżem pozłocistym. Nadbiegają za starszą parobcy zwinni i hoży, a rumiane, jak dojrzewające jabłuszka, dziewczęta dążą z pękami długo — włosy srebrzysto-zielonej bylicy i wiązkami płomiennych maków, błękitnych habrów i róż dzikich. I zakotłowało się zielone wzgórze od onych ruchomych postaci, jako łan zboża wiatrem poruszany. Bo wszystkie serca radośnie biją, a twarze gorącym płomieniem i uciechą radości goreją. Toć to dziś święto dorosłej młodzieży, dziś wianki dziewicze, na bystre fale rzucone, płyną ku wybrancom serdecznym, lub brzegom nieznanym.

Dzisiejszy wieczór — godzina uludnych czarów. Dziś, w cieniu posępnym nocy — uroczy kwiat paproci rozkwita...

— No, dalejże chłopcy, a żywo, zanim słońko za las się schowa, figurę musimy uciąć — zawołał Grześ Dębiak, dorodny chłopak, w bogatej, prosto z igły, niebieskiej z pasowymi wylogami sukmanie i w kapeluszu nałożonym nabakier, opasanym czerwoną atlasową wstęgą, z poza której chwiały się pęk piór pawich.

— Jak żywo, to żywo! — powtórzył Jasiek Wolny, pastuch gromadzki i grajek wioskowy, ciągnął prawą ręką wysoką drabinę, a lewą przyciskając swe skrzypki lipowe z przytwierdzonym do nich smykem.

Pomiędzy dziewczętami toczono głośnie narady, boć przecie kwiaty a bylicę trza podawać wedle starszeństwa, czyli wedle zwinności przy polnych i ogrodowych robotach...

— No, któraż tam na drabinę wejdzie? — zapytała jedna z dziewcząt, zniecierpliwiona mitręgą czasu.

— Poczekajta chwilę, zdaje się, że Dorotka przez łąkę pędzi, — nalegał Grześ, przysłoniwszy oczy ręką.

— Też z Dorotką wyjeżdżasz! — odburknęła na to Zośka, z przezwiska Grzechotka, jako okrutnie o swych bogactwach a urodzie, wszystkim wokoło sama o sobie głośliła. — Czy to ona ma być zawsze przodownicą?...

— Oj! to prawda, to prawda, — potakiwała, kiwając głową, tłusta młynarka — co ci parobcy sobie upatryli? ino Dorotka, a Dorotka im w głowie, jakby jaka gospodarska córka.

— A nie swarcie się tam, dziewczuchy, bo to dzisiaj wróżba, — odezwał się na to zwykle milczący Janek, który nie mógł znieść plotek, tembardziej, że były one wymierzone przeciwko takiejże sierocie, jak i on sam.

— Patrzcieno, ludzie! jeszcze i ten dogaduje, sukmany uczciwej nie ma na grzbiecie, wycina bosaka aż miło...

— Swoją za swoim stronę trzyma — dorzuciła Zośka...

— No, no, cicho tam, dziewczuchy! — zgromiła je wójtowa, — nie rozpuszczajcie zanadto gęby i nie psujcie zabawy.

— A pani wójcina niby to za Dorotką trzyma; ale synowi swojemu nie dałaby do niej swatów poślacić...

— Nie bój się, lepiej ona wyjdzie za mąż niż ty, — odparła gospodyni, spoglądając na Dorotkę, która, przedostawszy się przez tłum, weszła na drabinę i zasnęła liśćmi a kwieciami ramiona krzyża.

W taniej perkalowej spódniczce i czerwonym welnianym gorseciku, pomimo to, iż była również, jak Jasiek, bez obuwia, sierota przyciągała ku sobie wzrok wszystkich. W promieniach ukośnych słońca dwa długie i grube warkocze połyskiwały złotymi iskrami, twarz gorzała rumieńcem czerwcowej róży; a oczy, jak dwa habry, rzuciły pełne wewnętrzznego zadowolenia i czystości duszy jasne spojrzenia.

Gdy przy pomocy dziewcząt i chłopaków przystrojono figurę, wszyscy przytomni uklękli, a w ciszy wieczornego powietrza, unosiły się uroczyste tony litanii do Najświętszej Panny. Poczem, po odśpiewaniu: „Kto się w opiekę“... i „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ — tłum ruszył nad rzekę. Zanim tam doszli, zapadła już noc ciemna.

— Zapalać smołę! Chłopcy do łodzi! — rozległ się donośny głos Grzesia, który zawsze na zabawach rej wodził.

— Spiesz się, Dorotko z wianeczkiem. Grzesiowi już pilno — słyszysz, jak pluska wiosłem! — poczęła złośliwie Zośka, przysunawszy się do Dorotki, która, pracując w polu na sąsiednim folwarku, spóźniła się na zabawę, a pochłonięta myślą, by pięknie przystroić figurę, nie miała czasu zrobić sobie wianka.

— Nie wiem, czy mu tak bardzo pilno — odparła sierota; lecz spojrzawszy, pomimo woli, w stronę rzeki, splonęła żywszym rumieńcem, i ręce jej zadrzęły.

— Aha! to już wiem, gdzie raki zimują — zaśmiała się Zośka.

— Dlaczego mi dokuczasz? — spytała z serdeczną prostotą Dorotka.

— Wcale nie, ino widzisz, ja mam też serce. Ty sierota, niejednemu chłopakowi zawróci się na razie w głowie, i choć będzie zęby suszyć, nie żadnemu nie wierz. Choć dziś wianek z kwiatków na wodzie złapie, ale to ino dla zabawy; bo o swatach nie pomyśli — ostrzegła chytra Zośka, patrząc na swą towarzyszkę z pod oka.

— Ja tam o żadnym nie myślę.

— Ale wianek splatasz, i aż ci oczy mało nie wyskoczą do Grzeli... Okrutnie pragniesz, żeby za twoim wiankiem płynął. A te wszystkie wianki i skanki przez ogień, psu na budę się nie zdąży.

— Być może; ale piękny to obyczaj i stary, a w książkach opisują, że dawniej wszystkie święta tak wesoło były obchodzone.

— Eh, co ty mi z książkami wyjeżdżasz? Ja czytać nie umiem, ani brat mój, ale pieniądze mamy, i ludzie nas znają...

— No, przecie w jednej wsi wszyscy się znać muszą i to od małych dzieci — zaśmiała się Dorotka.

— Ino ty mnie rozumu nie ucz, zaś lepiej, zamiast owych głupich wianków, pójść do lasu i zerwać kwiat paproci, to przynajmniej nie żal i czasu zmitrzyć.

— I strachu się najeść, prawda? Ja tylko się dziwię, że taka praktyczna, jak ty dziewczucha, dątaś w gusła wierzy.

— Juści, że trochę więcej, niż w rozum uczony.

— Ja też pójdę szukać onego kwiatu, słyszysz Zośka? — zagadnął Jasiek, trącając ją w ramię.

— A co ty z kwiatem zrobisz? Masz przecie skrzypki — cały majątek.

— Pewnikiem, że tak, bo i ludzi rozweselię i pożywię się trochę, a na pieniądze ja nie łasy. Ino okrutnie chciałbym dowiedzieć się, czy ty, Zośka, będziesz szczęśliwa i gotów jestem o północy, na moczary, w las za tobą pójść.

— Niech cię o to głowa nie boli — idź sobie. Słyszysz? wołają ciebie, idź tam rzempolić.

— A zagrajże nam, Jasiek, zagraj, już dziewczuchy nad rzeką się uszykowały — zawołał ojciec chrzestny Dorotki, a za nim starsi gospodarze powtórzyli: — A zagrajże, a rażno, a od ucha!

Był już taki obyczaj, by grajka grzecznie i długo o muzykę prosić. Więc Janek począł się wymawiać.

— Kiedy nie wiem, czego się wam żąda.

— Ano tego „wolnego“

— Kiedym zabaczył..

— To tego „mijanego“.

— Kiej nie wiem, jak idzie...

— O, dla Boga! — chłopisko jak dąb wyrósł, a łeb ma pusty, kiej stodoła na przednówku.

— A prześpiwaj mu tam, Dorotka! — zwrócił się chrzestny do sierotki, — to się mu w głowie od uszy przesłyszają.

— Zaśpiewaj Dorotko — przemówił Grzela, chwytając ją za ręce.

— Hejże! hej, chłopaki,

Na łodzie, na łodzi!...

Wnet popłyną wianki

Po spienionej wodzie...

Przez spienione wody,

I przez rwące fale,

Spiesz chłopiec młody

W nieznane hen, dale.

— No, grajże, grajku!

— Co nie mam grać, zagram dziewczuskom na uciechę, niechaj ino lecą z wiankami.

— A gdy dziewczęta pozejmowały wianki ze swych główek, chłopcy pobiegli do łodzi i na krypy. Buchnęły zarzewiem beczki smolne, i w takt rażnego mazurka dziewczęta rzuciły wianki na wodę. Grzela stał na krypie i, bacząc pilnie na płynące wianuszki, począł śpiewać:

Łódka moja, łódka!

Suwaj po głębiny,

Moja ty kolebko,

W tobie życie płynie.

W tobie życie płynie

Tak miło i prędko,

Jak ta złota rybka,

Co goni za wędką.

Łódka moja, łódka,

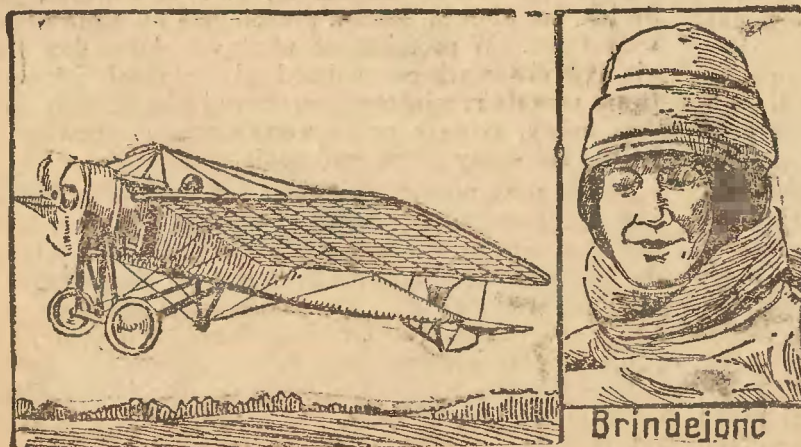
Wesoło pruj wody,

Do dziewczki kochanej —

Płynie rybak młody.

ŚMIALY LOT.

Przed kilkunastu dniami przeleciał lotnik francuski Brindejone (czyt. Brędeż) z Paryża do Warszawy w ciągu dziewięciu godzin i 24 minut, odliczywszy czas popasów w Berlinie i Poznaniu. Z Warszawy poleciał p. Brindejone do Petersburga. Lotem tym zdobył p. B. wielką nagrodę „Puchar Pommery”, jaką pewne francuskie towarzystwo przeznacza corocznie dla lotnika, który w czasie od wschodu do zachodu słońca przeleci znaczną przestrzeń, niż inni lotnicy. W Warszawie zgutowano śmiało lotnikowi gorące przyjęcie.



Płynie rybak młody,
O niej sobie myślę,
Jak o złotej rybce
Co pluska po Wiśle.

Mknę w chyżym rozpędzie
Po wianek ruciany —
Czy też moim będzie
Ten wianek kochany?...

(Dokończenie nastąpi).



OBRAZY Z KRAINY ZŁOTA.

(Ciąg dalszy.)

Odwrócił się plecami, nasunął kapelusz na czoło, pokręcił głową i widząc, że wysłuchałem z zajęciem całej sceny, mruknął, patrząc na mnie tak samo dziwnie jak dawniej:

— Musi to być wierutny hultaj. Śmieć utrzymywać, iż potrzeba żebrac, aby żyć. To bezczelne kłamstwo!

Zwracam uwagę, że znajdowaliśmy się w Newadzie, to jest w zapadłej puszczy, a jednak mój bandyta miał słuszność: przy dobrej woli nieznajomy żebrak mógłby łatwo znaleźć korzystną pracę bądź przy planicie kolejowym, bądź u którego z miejscowych osadników.

— Któż jest ów opryszek? — spytałem konduktora, który uklonił mu się, przechodząc.

— To górnik — odrzekł. — Stracił wszystko co miał, przez niespodziany zbieg okoliczności, i teraz jedzie próbować szczęścia gdzieś indziej.

Od tej pory przestałem sądzić ludzi z powierzchowności.

Dosadniej maluje charakter Kalifornijczyków opowiadanie jednego z moich znajomych, z którym przez lat kilka zostawałem w ścisłych handlowych stosunkach. Przemieszkował on długo w krainie złotodajnej, cztery czy pięć razy dorabiał się majątku i tracił go. Był to człowiek rzutny, przedsiębiorczy, obdarzony zimną krwią i sprytem kupieckim; wykształcenie posiadał mierne, ale za to wiele zdrowego rozsądku, który mu pozwalał trafnie sądzić o wszystkim.

— Ta epoka — rzekł on, gdyśmy się rozgadali o życiu osadników kalifornijskich w piątym dziesiątku lat wieku ubiegłego — nie wróci się już nigdy. Masz pan słuszność zupełną, twierdząc, że okoliczności, w jakich się żyło wtedy, wpływały dodatnio na rozwój uczuć i cnót humanitarnych. Wiesz pan, że trudniłem się czas jakiś przemysłem w Ohio i że zbankrutowałem doszczętnie; wierzyciele moi stracili na tem sto tysięcy dolarów, a ja byłem zmuszony opuścić kraj, zostawiając żonę i dwoje dzieci u teścia, który sam miał niewiele. Popłynąłem do Kalifornii, nie mając pojęcia, co mnie tam czeka. Była to jedyna droga, jaka mi pozostawała, żeby się wyrwać z desperackiego położenia.

Wylądowałem w San Francisco i zacząłem się starać o miejsce buchaltera w jakim biurze, ale napływ kandydatów był wielki, życie zaś kosztowało tak drogo, że w dwa tygodnie znalazłem się prawie bez grosza przy duszy. Jeden z towarzyszków podróży, którego przypadkowo spotkałem na ulicy, widząc mnie zniechęconym, poradził, abym się udał do kopalni i wskazał mi mały statek, który miał odpłynąć do Sa-

kramento z zapasami żywności. Wszedłem w układy z właścicielem statku, a ten, widząc na mnie czarny tużurek, zażądał za przewóz czterdzieści dolarów. Miałem zaledwie dwa dolary w kieszeni i te pragnąłem zachować na czarną godzinę, ofiarowałem się więc przyjąć na siebie obowiązki majtka. Właściciel odmówił pod pozorem, że nie wydaje mu się zdolnym do pełnienia tej czynności.

— Mam jednakże jarzyny do naładowania na statek — rzekł po namyśle — jeżeli chcesz pan podjąć się tej pracy, zabiorę cię z sobą.

Zgodziłem się bez wahania. Naładowałem na pokład przeszło dwieście pak zawierających kartofle, kapustę i pomidory; a następnie przybywszy do Sacramento, wylądowałem je na brzeg rzeki. Stanąwszy na miejscu, zacząłem się rozpytywać o drogę do kopalni, odległych o 40 mil, a wydawszy dwa ostatnie dolary na zapłatę noclegu i śniadania w oberży, pieszo ruszyłem w podróż. Wyszedłem dość późno, noc zaskoczyła mnie w drodze; musiałem o głodzie pójść spać pod pierwszym lepszym drzewem. Nazajutrz trzeba było iść dalej. Obudziłem się śmiertelnie znużony, z popuchniętymi nogami; delikatne obuwie moje podarło się na strzępy, gorąco dokuczało mi straszliwie, niemniej jak głód. Idąc rozmyślałem o biednej żonie, o dzieciach, które zostawiłem bez środków bez życia; smutek gnębił mnie okrutny.

Nie wiem, jakem się dobił celu podróży, pamiętam tylko, że zdala spostrzegłem ogniska rozłożone w polu, dokoła których spoczywali robotnicy; do-



Skutki burzy.

Ostatnie tygodnie przyniosły nam obfitość burz, deszczów, gradów a nawet i orkanów. Obrazek nasz przedstawia zniszczenie, dokonane przez burzę i wiatry w jednej z miejscowości fabrycznych

wlokłem się do nich ze skrwawionemi nogami, wy-
cieniony prawie zupełnie. Pięciu czy sześciu ludzi
warzyło jakiś dekolt z kawy przy ogniu i smażyło
 słoninę w glinianej rynce. Zapach tej słoniny przy-
prawił mnie o rozpacz. Ja, który niedawno opływa-
łem w zbytkach, nie miałem dotąd pojęcia, co to są
tortury głodowe. Zataczając się, podszedłem do o-
gniska. Noc była ciemna, a z obawy, aby mnie nie
odpędzili, usiłowałem przemówić do nich jak najspoko-
jniejszym głosem.

Gdybym był wówczas znał Kalifornią, wiedział-
bym, że obawy moje były płonne, ale wszak przyby-
wałem ze wschodu, i nie byłem wcale wtajemniczony
w obyczaje górników. Czułem, że jeżeli ci wyrobni-
cy odepchną mnie od siebie, umrę niewątpliwie w ja-
kim przydrożnym rowie.

Zbliżywszy się do ogniska, rzekłem:

— Objaśnijcie mnie, proszę, w imię Chrystusa, co
ma począć, do czego się wziąć w tym kraju czło-
wiek nie posiadający grosza a pragnący szczerze pra-
cować?

Spojrzeni na mnie uważnie.

— Hm! — rzekł jeden — kopać jak inni. Może
mu los poszczęści. Tymczasem spocznij, przyjacielu,
i spożyj z nami wieczerzę. No, bez ceremonii...

Usiadłem przy ognisku, zacząłem jeść jak wilk.
Pocziwi ci ludzie nie czynili żadnych uwag szyder-
czych, znać były to serca umiające uszanować niedo-
łę. Opisałem im moje położenie, wyznałem, że nie
mam ani narzędzi do pracy, ani doświadczenia.

— Mniejsza o to — odpowiedzieli. — Pożyczymy
ci łopaty i wskażemy gdzie najlepiej kopać.

Nazajutrz, o świcie, jeden z tych pocziwych za-
prowadził mnie nad strumyk.

— Kop tutaj, kolego — rzekł. — Zwir i piasek
składaj oł tam; wieczorem, po robocie, przyjdę się
przekonać, jak ci poszło.

Zabrałem się gorliwie do pracy. Już przed połu-
dnem dłonie moje okryły się bąblami, bo nigdy w
życiu nie pracowałem łopatą; ale szukałem złota, ta
myśl tak czarodziejsko oddziaływała na mnie, że za-
pominałem o wszelkich cierpieniach. Pomimo jednak
starannego przeglądania ziemi i piasku, nie mogłem
dopatrzyć ani jednego ziarnka złota. Po południu
chciałem dać za wygraną; czułem się śmiertelnie znu-
żony a złota jak nie było tak nie było.

Wieczorem zjawił się mój opiekun.

— Nie źle jak na początkującego! — rzekł, spoj-
rzawszy na kopiec, potem wziął mosiężną swoją mie-
dnicę i zaczął plukać zwir. Powiedziałem mu, że
nie ma tam złota ani śladu, on zaś począł się śmiać
z mego niedoświadczenia.

— Nowicyusz z ciebie! — odparł, nie przestając
plukać zwiru.

(Dokończenie nastąpi.)

ZE WSPOMNIEŃ HISTORYCZNYCH.

Sejm elekcyjny po śmierci Batorego.

Sejm konwokacyjny, który się odbył pod zupełną
przewagą Zborowskich i na który nie przybył wcale
Zamoyski, ostrzeżony przez prymasa Karnkowskiego
o grożącym mu niebezpieczeństwie, nazначył termin
sejmu elekcyjnego na dzień 30 czerwca 1587 roku.

Zamoyski, odrzuciwszy pośrednictwo Firleja i Sza-
franca, nakłaniających go do zgody ze Zborowskimi,
stał w oznaczonym dniu pod Warszawa na czele 1000

piechoty i 4000 wyborowej jazdy, z którymi na polu
elekcyjnym połączyły się poczty Konstantego i Janu-
sza książąt Ostrogskich, podskarbiego Dulskiego i mar-
szałka koronnego Opalińskiego.

Liczniejsze jeszcze wojsko, przeważnie z zaciągów
cudzoziemskich złożone, przywiedli z sobą Zborowscy,
Górka Stanisław i Mikołaj Jazłowiecki, starosta śnia-
tyński. Obóz Zamoyskiego stanął na północ od Woli,
Zborowskich na południe. Litwini, widząc to rozdwo-
jenie, pozostali za Wisłą, rozłożywszy się pod wsią
Kamionką.

Prymas zagaił sejm mową zalecającą spokój i zgo-
dę. Nic to jednak nie pomogło i elekcyja rozbiła się
na dwa koła: Zamoyskiego, zwane *czarnem*, i Zbo-
rowskich, zowiące się *generalnem*. Litwini trzymali
się ciągle na boku. Gdy wobec usiłowań pojednaw-
czych, Zborowscy oświadczyli, że na najmniejsze nawet
uszczeruplenie uchwał sejmu konwokacyjnego nie po-
zwolą, województwa Mazowieckie, Płockie i Rawskie
przeszły do koła czarnego.

W dniu 27 marca, gdy senat rozpoczął obrady, uj-
rzano wojska dwóch przeciwnych obozów następujące
na siebie. Prymas, lubo starzec i chory, dosiadł konia
i rzucił się między zbrojne szeregi. Powstał tumult,
wśród którego padł od kuli kanonik kujawski Brze-
ziński. Prymasowi i senatorom udało się przeszkodzić
bratobójczej walce, ale wojska stały w szyku bojowym
do wieczora. W nocy prymas kazał spalić szope, jako
krwią Brzezińskiego splamioną, a wznieść nową, bliżej
miasta, zdaleka od obu obozów.

Wszelkie zabiegi, około zbliżenia do siebie po-
ważnionych żywiołów, rozbijały się głównie o upór
i arogancją Zborowskich. Zwady, kłótnie i bójki były,
na porządku dziennym. Dnia 11 sierpnia obwołano
pokój powszechny, ale tego samego dnia dziewięciu
szlachty zabito. Krzysztof Zborowski, banita, uraga-
jąc ciężacemu na sobie wyrokowi, tegoż dnia zjechał
na pole elekcyjne. Sposobu pojednania nie było, gdyż
każde z kół miało swego kandydata, któregooby za nie
nie było odstąpiło: czarne Zygmunta królewicza szwedz-
kiego, siostrzeńca królowej Anny, — generalne Raku-
szanina. Prymas chwiał się między jednym a drugim.

Dnia 14 sierpnia odbyło się wysłuchanie posłów
zagranicznych w kole generalnem. Nuncyusz papieżki,
Annibal z Kapui, przemawiał za kandydatem katoli-
kiem; Pawłowski, posel cesarski, który miał według
instrukcyi proponować do wyboru aż czterech arcy-
książąt: Ernesta, Ferdynanda, Maksymiliana i Macie-
ja, po naradzie ze swymi stronnikami, dla nierozstrze-
lania się głosów, zalecał jednego tylko Maksymiliana.

Cztery dni upłynęły jeszcze bez żadnego ważniej-
szego zdarzenia, aż w nocy z dnia 18 na 19 sierpnia,
Zborowscy chcąc osiąść zupełnie w moc swoją waha-
jącego się prymasa, postanowili napaść nań zbrojnie
i porwać. Odkrył ten zamach Zamoyski, a Karnkowski
rozgniewany przeniósł się stanowczo do koła czarnego
i dnia 19 sierpnia ogłosił królem Zygmunta, którego
koło czarne jednomyślnie przyjęło. Spisano reces, uda-
no się do Warszawy i w kościele św. Jana Te Deum
odśpiewano.

Koło generalne, mocno zrazu skonsternowane tą
wiadomością, po kilkudniowych naradach przystąpiło
również do wyboru i dnia 22 sierpnia Jakób Woro-
niecki, biskup nominat kijowski, ogłosił królem Maksy-
miliana. Mimo protestacyi nawet niektórych swoich
stronników, mimo nielicznych podpisów na akcie
elekcyi, koło generalne udało się również do Warszawy
i Te Deum w kościele bernardyńskim powtórzyło.